

Agneszka Hałas

# POŚRÓD CIENI



**AGNIESZKA HAŁAS**

**Teatr węży**

**TOM 2**

**POŚRÓD CIENI**

**Oficyna wydawnicza RW2010**

Poznań 2013

AGNIESZKA HAŁAS  
TEATR WĘŻY  
tom 2  
POŚRÓD CIENI

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2013  
Redakcja i korekta zespół RW2010  
Redakcja techniczna zespół RW2010  
Copyright © Agnieszka Hałas 2013  
Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2016

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013  
wydanie I

ISBN 978-83-63598-67-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań  
Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)  
Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

# Patronat medialny:



## Spis treści

---

Prolog.....	6
Rozdział 1 Złe przeczucia.....	10
Rozdział 2 Pandemonium.....	26
Rozdział 3 Dziewczyna w czarnym welonie.....	42
Rozdział 4 Świątynia trzech bogiń.....	67
Rozdział 5 O jeden kłopot mniej.....	90
Rozdział 6 Kręgi na wodzie.....	107
Rozdział 7 W pobliżu dna.....	123
Rozdział 8 Dwa przyjęcia.....	140
Rozdział 9 Kaprysy losu.....	155
Rozdział 10 Jusepe Haberra.....	164
Rozdział 11 Młodsza siostra.....	176
Rozdział 12 Zbierające się chmury.....	196
Rozdział 13 Niebezpieczeństwa i sny.....	209
Rozdział 14 Pułapka na węża.....	237
Rozdział 15 Sisara ar Enne.....	254
Rozdział 16 Srebrny myśliwy.....	283
Rozdział 17 Pytania i odpowiedzi.....	296

*Tańcząc pośród cieni  
Minionych barw, wspomnień  
Tysiąc barw szarości  
Utraconych kolorów blask  
(Artrosis, „Epitafium”)*

## Prolog

Gdy bogowie ofiarowali ludziom magię, na początku była ona jak dzień i noc, jak dwie strony księżyca. Światło i ciemność, lecz w harmonii ze sobą. Zmrocza, źródło czarodziejskiej mocy, ma dwie barwy; podobnie ma się rzecz z aurą każdego miejsca i każdej żywej istoty. Taka jest dwoista natura świata ludzi, którą magia odzwierciedla. Tak zaplanowali to dwaj najpotężniejsi spośród bogów, Haran i Eresh. Przez wieki istniały dwie równoprawne szkoły sztuki magicznej – srebrna i czarna. Herbem pierwszej była gwiazda, drugiej – wąż.

Adeptów srebrnej szkoły zwano w mowie magów *horos kai*, Władający Światłem. Adeptów czarnej – *t’hael*, Ci, Którzy Śnią. Określenie „zmij”, używane w stosunku do tych drugich przez prosty lud, w dawnych czasach wyrażało szacunek. Wtedy czerń jeszcze nie karmiła się cierpieniem. Była wolna od skazy, czysta jak noc. Posługiwanie się nią nie niosło groźby szaleństwa. Była barwą tych magów, którzy nie wyzbywali się emocji – nadal potrafili kochać i nienawidzić jak zwykli ludzie, nie upatrując w tym ujmy dla siebie. Adepcci srebra dążą do uwolnienia się od uczuć, które postrzegają jako słabość.

Srebrni magowie nadali swemu bractwu nazwę: Elita. Nade wszystko cenili wiedzę, a dokładniej – potęgę, którą wiedza może dać. Zgłębiali różne gałęzie nauk, nie stronili też od polityki. Konstruowali golemy i maszyny bojowe, odczytywali przyszłość z gwiazd, doradzali królom i wiedzieli, jak wpływać na społeczeństwo. Tak pozostało do dziś. Srebrna magia jest magią umysłu, jej rywalka zaś – magią duszy.

Czarna magia, nosząca obecnie nazwę Zakazanej Sztuki, była kiedyś sztuką darzoną ogromnym respektem, chociaż jej adepci nie dążyli nigdy do tego, by władać kimkolwiek i czymkolwiek w materialnym świecie. Ich domeną był świat astralny, świat snów i kraina umarłych. Czerń pozwala podróżować do miejsc, które dla srebra są ukryte lub niedostępne, i komunikować się z siłami, których istnienie srebro ignoruje. Obie szkoły władają mocą żywiołów, lecz na odmiennych zasadach. Srebrny mag rozkazuje żywiołowi, czarny rozmawia z żywiołakiem.

Srebro i czerń od setek lat rywalizowały ze sobą, bo taka jest natura ludzka. Aż nadszedł dzień, kiedy srebrny mag Tilead Tiriac zapragnął zapisać się w pamięci potomnych jako ten, który na zawsze udowodni wyższość *horos kai* nad *t'hael*. Powodowany ambicją i ślełą pychą, wezwał demona Otchłani i zawarł z nim pakt.

Demon obiecał pomóc mu w spełnieniu najśmielszych dążeń i na wieki ugruntować wyższość srebra nad czernią. Za jego podszeptem Tilead wyzwał na pojedynek ostatnią arcymistrzynię *t'hael*. Nosila ona imię Nepenthe Ri Araine, nazywano ją Czarną Lilią. Przyjęła jego wyzwanie, bo tak nakazywał honor i obyczaj.

Nikt dzisiaj nie wie na pewno, gdzie rozegrała się ich walka, wiadomo jednak, że wszystko odbywało się na oczach zebranych tłumnie przedstawicieli obu szkół. To miał być rytualny pojedynek magów, więc taki, w którym krew nie ma prawa się polać. Lecz okazał się jedynie przykrywką dla podstępny. Do walki zamiast Tileada stanął utajony pod jego postacią demon. To on rzucił zaklęcie, które śmiertelnie ugodziło Ri Araine.

Wówczas ziemia zatrzęsa się, niebo pociemniało i spadł deszcz popiołu. Tilead Tiriac uaktywnił stworzoną w Otchłani klątwę, która ugodziła w samo sedno Zmroczy, w istotę magii, zatruwając źródło czarnej mocy. Śmierć Nepenthe Ri Araine przypieczętowała moc tego czaru, jednego z najpotężniejszych, jakie kiedykolwiek rzucono w materialnym świecie i znanego dziś jako Skażenie. Od tamtej pory czerń

karmi się cierpieniem, a *t'hael* nazywają się teraz *ka-ira* – Złodzieje Światła lub Złodzieje Życia, bo tę nazwę można tłumaczyć dwojako. Wielu z nich popada w szaleństwo, czy to podczas budzenia się daru, czy później. Tych, którzy pokochają zadawanie mąk i śmierci, trzeba eliminować niczym wściekłe zwierzęta, inaczej gdziekolwiek postanie ich noga, będą zostawiać za sobą krew, łzy i żalobę.

Gdy jego zbrodnia wyszła na jaw, Tileada Tiriaca okrutnie ukarano. Wygnano go na wieki poza granice materialnego świata i uwięziono w odległym zakątku sfer, w żelaznej fortecy. Lecz było już za późno, by naprawić szkody, które wyrządził. Kiedy potwierdziły się najgorsze obawy, Elita podzieliła się na dwie frakcje. Jedni twierdzili, że należy czekać i nie robić nic, że Zmrocza oczyści się sama. Jednak szybko zaczęły się rozchodzić wieści o czarnych magach, którzy pograżyli się w szaleństwie, siejąc śmierć i zniszczenie – jak Lea Saricci zwana Płonącą Różą, która zesłała deszcz ognia i siarki na Othlon, albo Adrien de Vere z Ponte Auria, morderca dziewcząt. Wtedy ówczesny arcymistrz Elity dał posłuch zwolennikom drugiej frakcji, którzy uważali, że dotkniętych skazą należy tępić bez litości. Podjęto kroki, aby wszystkich magów czarnej szkoły wytropić i zniszczyć. Jednak okazało się to niemożliwym zadaniem, gdyż skażone talenty odradzają się wciąż na nowo. Taka jest natura samej Zmroczy. Dwie barwy, zawsze, po kres wieków. To warunek zachowania równowagi świata – Ekwilibrium.

*Zaihos ar Kyth i Argil d'Engle zwany Sokolem, Nowe kroniki magii.*

*Dzieło umieszczone przez Elitę na indeksie ksiąg zakazanych*

Częstokroć obserwuje się, że obdarzeni czarnym darem nie tylko wyczuwają cierpienie bliźnich, reagując na nie jak rekin na krew, ale sami działają jak magnes, ściągający jednostki dotknięte nieszczęściem czy chorobą. *Ka-ira* przypomina świecę, do której lecą ćmy; kusi cierpiących mirażem wyleczenia i zapomnienia,



a skrzywdzonych obietnicą sprawiedliwej zemsty. W rzeczywistości jedyne, czego pragnie, to sycić się czernią.

*Amaris ar Vanth, O naturze skazy.*

## Rozdział 1 Złe przeczucia

Nieduży salon na piętrze rezydencji Vaneisenów urządzony został z myślą o spotkaniach w wąskim gronie, dlatego też – w przeciwieństwie do bawialni na dole – wciąż jeszcze bywał użytkowany. Również pod nieobecność pana domu.

Światło słońca przesączało się przez ciemnozielony materiał zasuniętych zasłon. Na stoliku stała karafka wina z wodą i dwa pucharki. Dwie dziewczyny w czarnych sukniach siedziały na szezlongu, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Anavri Vaneisen nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy jej cioteczna siostra tylko udaje, czy naprawdę ma coś poważnie nie w porządku z głową.

Lorraine Alexia Nevers od zawsze była... dziwna. Łagodnie rzecz ujmując. Ale wszyscy patrzyli na to przez palce, bo powszechnie wiadano, jaki jest jej ojciec.

Hrabia Nevers miał niebezpieczne zainteresowania. I w jakiś sposób ewidentnie zaszkodziło to jego córce.

Lorraine od dzieciństwa ubierała się na czarno, a ostatnimi czasy nie pokazywała się na dworze bez welonu zasłaniającego twarz. Jeśli w jej obecności zaczynało rozmawiać o kimś, kto ciężko choruje lub niedawno zmarł, wychodziła z komnaty. Stwierdziła kiedyś, że wolałaby sama postradać życie, niż patrzeć, jak kogoś wieszają. Nigdy nie odwiedzała cmentarzy. Nie jadła mięsa. Ale potrafiła przy świadkach nagle podciągnąć mankiet i ugryźć się w rękę do krwi.

Wszystko to były drobnostki w porównaniu z wyczynami jej ojca. Na salonach Shan Vaola szeptano, że hrabia Ephrestus Dorian Nevers od lat zgłębia teorię Zakazanej Sztuki i nade wszystko marzy, by obudziło się w nim przekleństwo Zmroczy, czarny dar. Że wydaje w tym celu ogromne sumy na eliksiry i narkotyki, którymi już kilka razy zatruł się tak, że był na skraju śmierci. Że każe sprowadzać do siebie ubogie dziewczęta i własnoręcznie upuszcza im krew, którą potem pije. Że kiedyś w ataku furii zabił służącego, a potem sownie zapłacił jego rodzinie, aby

wszystko wyciszyć. Że jego małżonka, matka Lorraine, zmarła przed pięcioma laty w tajemniczych okolicznościach. I że hrabia ma układy ze srebrnymi magami, dzięki czemu ci patrzą przez palce na jego ekscesy. Choć, jak powtarzano, do czasu.

Sam jego wygląd mówił wiele. Brzydki jak źle ociosana kamienna figura, za młodu mocno zbudowany, teraz tęgi, Nevers przypominał złoczyńcę z jarmarcznej sztuki. Nosił czarne peleryny i kapelusze, stapał ciężko, podpierając się laską, o której wszyscy wiedzieli, że wewnątrz kryje się wysuwane ostrze. Wydawałby się komiczny, przerysowany, gdyby nie to, że na jego widok ciarki przebiegały po plecach.

Kiedy Lorraine opowiadała o swoim ojcu, ściszała głos prawie do szeptu, a potem rozglądała się, jakby w obawie, że ktoś stoi za zasłoną i podsłuchuje.

– Anavri, zaczynam myśleć, że on do reszty stracił rozum. Sprowadza jakichś obdartych guślarzy, pali z nimi haszysz i godzinami słucha ich bełkotu... Albo zamyka się w tej pustej komnacie, którą nazywa swoją salą medytacji, a potem wychodzi stamtąd w środku nocy i dziurawi szpadą obrazy w galerii.

Anavri wyobraziła sobie, jak jej ojciec skomentowałby informację, że hrabia Nevers posiada galerię pełną własnoręcznie podziurawionych obrazów.

*Ciekawy pomysł. Mógłbym mu polecić kilku malarzy, których dzieła idealnie się nadają do tego celu.*

Musiała stłumić uśmiech, chociaż tak naprawdę nie było jej do śmiechu.

– To nie wszystko – ciągnęła Lorraine, skubiąc mankiet. – Ojciec planuje mnie wkrótce wydać za mąż.

*Logiczne* – pomyślała Anavri. Dziewczęta z arystokratycznych rodzin rzadko wydawano za mąż przed szesnastymi urodzinami, ale przed osiemnastymi już dość często. Dobrze wiedziała, że nieżyczliwe języki nie omieszkały już skomentować faktu, iż Alain Vaneisen nie spieszy się z szukaniem narzeczonego dla swojej dziewiętnastoletniej córki. Znając Neversa, można było co najwyżej lekko się

zdziwić, że przeznaczył latorośli los tak normalny i zgodny z dobrym obyczajem, zamiast na przykład złożyć ją potajemnie w ofierze demonom.

Reputacja hrabiego oraz – w mniejszym stopniu – samej Lorraine na pewno musiały budzić niepokój, ale to nie znaczyło, że nie znajdą się chętni. Nazwisko, a tym bardziej obietnica wysokiego posagu, miały szansę zadziałać jak potężny wabik. Hrabia Nevers potrafił dbać o finanse i dysponował fortuną nienadszarpniętą w istotnym stopniu przez ekstrawagancje, których się dopuszczał. Zaś Lorraine... Lorraine była młodziutka i raczej nikt, kto znał ją choć trochę lepiej, nie żywił podejrzeń, że podziela niebezpieczne zainteresowania ojca. Jej dziwactwa można było od biedy zbagatelizować, zakładając, że z nich wyrośnie. Poza tym tyle się dowcipkowało o brzydkich pannach, które zyskują atrakcyjność dzięki posagowi, a córka hrabiego Nevers była ładna. Szczupła, o bladej cerze, miała delikatne rysy Vaneisenów, po ojcu odziedziczyła jedynie ciemne włosy. Mogła kusić.

– Ma na oku kogoś konkretnego?

– Tak. Twierdzi, że rozmawiał w tej sprawie z młodym baronem Ber-Haasten. Ponoć już się wstępnie dogadali.

Anavri bywała w towarzystwie częściej niż jej kuzynka, więc doskonale wiedziała, o kogo chodzi.

– Loic Ber-Haasten sprawia wrażenie sympatycznego – stwierdziła tonem, który w zamierzeniu miał być pocieszający. Tak naprawdę młody Ber-Haasten, grubawy osobnik, który przedwcześniełysiał, więc nosił rudą, fryzowaną perukę, wydawał się jej mało pociągającym kandydatem na męża. Ale można było trafić gorzej.

– Nie w tym rzecz – odparła niecierpliwie Lorraine. – Kiedy opuszczę dom, ojciec będzie mógł robić, co mu się żywnie spodoba. Teraz trochę się jeszcze hamuje ze względu na mnie. Anavri, proszę cię, porozmawiaj z wujem.

– Ale co mam mu powiedzieć?

– To, co ja ci powiedziałam.

Zsunęła rękawiczkę i w roztargnieniu obgryzała paznokcie. Anavri poczuła się dziwnie, kiedy pomyślała o własnych dłoniach. Więc to dlatego jej kuzynka też nigdy nie pokazywała się publicznie bez rękawiczek.

Nagle wróciło do niej wspomnienie *ka-ira*, którego kilka miesięcy wcześniej spotkała na grobie brata, kiedy świecił szkarłatny księżyc zachwiania. Nikomu nie opowiedziała o tym zdarzeniu; było przedziwne, jakby z pogranicza snu i jawy. Zwalczyła pokusę, by zapytać, czy w willi hrabiego nie pojawia się czasem człowiek z trzema bliznami na twarzy. Myśl, że tamten nieszczęśnik, któremu użyczyła sił przez wzgląd na pamięć o Fabienie, może zaliczać się do podejrzanych znajomych Neversa, okazała się zaskakująco nieprzyjemna i Anavri odepchnęła ją.

– Coś się stało? – zagadnęła Lorraine. Spojrzenie, którym obdarzyła kuzynkę, było najzupełniej przytomne i niepokojąco dociekliwe. – Masz taką minę...

– Co takiego? Nie, nic. Zamyśliłam się. – Anavri zaśmiała się, by pokryć zmieszanie, i pospiesznie zmieniła temat. – Mogę cię o coś spytać? Lorraine, czemu ty właściwie nosisz żałobę od tak dawna? Chodziłaś w czerni, zanim jeszcze ciotka zmarła.

– A czemu ty nosisz żałobę?

– Przecież wiesz. – Anavri trochę się zniecierpliwiła. – Po Fabienie.

– No właśnie – odparła jej kuzynka takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. – Żałobę nosi się ze względu na umarłych.

– A ty?

– Ja też noszę ze względu na umarłych. Po to, żeby... – Nagle Lorraine skuliła się, a przez jej twarz przebiegł skurcz, jakby miała się rozplakać. – Żeby nie zapragnęli mnie ukarać za brak szacunku. To nie moja wina, że słyszę ich głosy.

– Umarli przemawiają do ciebie?

– Nie do mnie, Anavri. Po prostu ich słyszę. Słyszę, jak mówią.

– I o czym opowiadają?

– Najczęściej o tym, jak umierali. I o tym, jak strasznie jest po drugiej stronie. – Lorraine objęła się ramionami, jakby było jej zimno. – Ale ty nie wierzysz w takie rzeczy. Jesteś taka jak wuj Alain, nigdy mnie nie zrozumiesz.

Anavri jedynie potrząsnęła głową. Pomyślała, że o tym też powinna powiedzieć ojcu, ale wiedziała, co usłyszy w odpowiedzi. Że owszem, oni oboje nigdy nie zrozumieją Lorraine. Dlatego zamiast z nimi, panna Nevers powinna pomówić z medykiem, ale prawdopodobnie jest już za późno na jakąś pomoc.

Obie drgnęły, słysząc szelest, lecz to tylko podmuch wiatru poruszył firankami. Anavri wstała, żeby przymknąć okno.

– Porozmawiam z ojcem, gdy wróci z podróży – powiedziała. – Uważaj na siebie, Lorraine.

\*\*\*

**B**łask latarni odbijał się w ustawionych na stole butelkach oraz kielichach, wydobywając z mroku sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden z nich, niski i zgarbiony, z twarzą niknącą w cieniu kaptura, wyjął spod peleryny pękatą sakiewkę i wysypał jej brzęczącą zawartość na brudny blat.

– Zgodnie z umową – oznajmił. – Pięćset z miesięcznego rozliczenia, za trupią maść i inne rzeczy. A do tego czterysta w związku ze sprawą dziewczyny.

Helshor, niekoronowany władca żebraków, rzezimieszków i reszty szumowin Shan Vaola, zaśmiał się ochryple, aż zatrzęsły się fałdy jego cielska.

– Drogo was kosztuje jedna dzierlatka.

Zakapturzony nie uśmiechnął się.

– Zajmijcie się nią – dorzucił z naciskiem. – Pilnujcie jak oka w głowie, póki nie damy wam znać.

– Nie ma obawy. – Hakiem, który zastępował mu uciętą prawą dłoń, Helshor zgarnął monety z powrotem do sakiewki, a ta zniknęła w kieszeni obszarpanego

szkarłatnego kaftana. – Będzie tak, jak z tą nieszczęsną małą trzpiotką Amadią de Vilier. Jak kamień w wodę, braciszku. Choćby rodzina wyblagała pomoc u Elity.

– Na to liczymy. – Zakapturzony wyjął z cholewy sztylet i sięgnął po stojący między butelkami półmisek z resztkami zimnej pieczonej karkówki. Odkroił kawałek, nadział go na czubek klingi i zaczął jeść. Złoty sygnet na małym palcu jego lewej ręki błysnął, łowiąc światło. – Tak między nami, czy panna de Vilier nadal żyje?

Helshor zarechotał jeszcze głośniej.

– Oficjalnie zniknęła z powierzchni ziemi i tego się trzymajmy, przyjacielu. A, byłbym zapomniał. – Wyjął spod stołu jeszcze jedną butelkę, zapieczętowaną czerwonym woskiem. – Mam tu dla was próbkę czegoś nowego. Za dodatkowe pięćset leri możemy wam dostarczać miesięcznie cztery takie flaszki.

– Ale co to jest?

– Coś jak laudanum, tylko lepsze. Można tym rozweselać, usypiać albo truć, zależnie od dawki, ale przede wszystkim można – żebraczy król zniżył głos – użyć tego do wydawania rozkazów. Ogłup tym dziewczkę i każ jej choćby z okna skoczyć; usłucha... Zresztą, powąchaj.

Zdarł wosk, odkorkował butelkę i podsunął ją gościowi pod nos. Ten cofnął się odruchowo. Helshor parsknął ubawiony.

– Śmiało, bracie, to nie trucizna.

Zakapturzony nieufnie powąchał zawartość butelki i aż zagwizdał.

– Wschodni eliksir, yadhmarska receptura! Kto to uwarzył?

– Mój alchemik.

– No proszę. Taki talent tu w Podziemiach? – W głosie przyjezdnego zabrzmiała podejrzliwość świadcząca, że domyśla się prawdy. Helshor z mrugnięciem oka pogroził mu hakiem.

– Wszyscy mamy nasze małe tajemnice.

\*\*\*

Wśród wielu ukłonów i wzajemnych grzeczności Demetheos ar Kel pożegnał wreszcie przedstawicieli władz uczelni, którzy przybyli do jego wieży z nieformalną petycją o przywrócenie do biblioteki uniwersyteckiej kilkunastu skonfiskowanych dzieł. Zamiatając powłóczyście oficjalną szatą, ciężką od złotych i srebrnych haftów, wkroczył z obszernej sali audiencyjnej do wąskiego pomieszczenia kancelarii.

– I jak zakończyła się sprawa tych golemów? – zapytał od progu.

Jego sekretarz uniósł głowę znad pisma, które pracowicie kaligrafował.

– Iglendis ar Vanth doniosła przed godziną, że zgodnie z poleceniem arcymistrza dwudziestu w pełni wyszkolonych Jednookich zostało wyprawionych portalem na dwór książęcy w Val Marsea, jako dar Elity dla księcia.

– Więc arcymistrz przysłał pismo. Doskonale. Co nam zostało do załatwienia w tym tygodniu?

Sekretarz wręczył Opiekunowi Miasta kartkę z listą bieżących spraw. Sędziwy mag z westchnieniem przebiegł wzrokiem te jej punkty, które nie zostały jeszcze przekreślone czerwonym atramentem. Dokończyć listę uwag i wniosków, które Terbius ar Aoth, zasiadający jako delegat Elity w radzie miasta, miał zgłosić na najbliższym posiedzeniu... Pchnąć któregoś z młodszych akolitów, żeby był obecny przy dorocznej kontroli stanu akweduktów...

– I jeszcze to – przypomniał sobie młodzieniec. Podał zwierzchnikowi pismo opatrzone pieczęcią. Demetheos rozłamał ją. Przeczytawszy pierwsze zdanie, opuścił pergamin z miną pełną obrzydzenia.

– Opinia w sprawie wysokości kar dla kupców fałszujących oliwę i mąkę? Do mnie z takimi rzeczami? Niech idą z tym do Terbiusa. Wszelkie związane z Ekwilibrium zagadnienia prawne to jego działka, nie nasza.



– Przekażę. Mistrz... – Na twarzy sekretarza odbił się wyraz zakłopotania. – Golemy służebne twierdzą, że przed chwilą coś się działo z gwiezdny krysztalem. Ponoć ni z tego, ni z owego zaczął świecić. Wystraszył je.

– Ciekawe. – Demetheos zmarszczył brwi. – Sprawdzę to.

Gwiezdny krysztal znajdował się w posiadaniu Opiekuna Miasta od kilku tygodni. Został skonfiskowany przez Jednookich na podziemnym targowisku, gdzie pojawiały się najrozmaitsze dziwne, a niekiedy niebezpieczne towary. Jakimś sposobem dostał się w ręce yadhmarskiego marynarza, który sprzedał go handlarzowi osobliwości, twierdząc, że to jajo smoka. Powszechnie wiadomo, że Demetheos ma słabość do wszelkiego rodzaju fenomenów natury, dlatego podwładni oddali mu znalezisko, zamiast odesłać je do laboratoriów na Wyspie Salamander.

Kryształy tego rodzaju pochodziły z piątego dominium astralnego i jeśli wierzyć księgom, posiadały różne niezwykle właściwości. Mogły pokazywać obrazy przeszłych, przyszłych lub tylko możliwych wydarzeń. Niekiedy śpiewały albo przemawiały ludzkim głosem, a w grymuarze Chalkesa opisano przypadek gwiezdny krysztalu, który co roku podczas zimowego przesilenia buchał ogniem. Ten, który znalazł się w posiadaniu Demetheosa, miał wprawdzie piękny fioletowy kolor, a także unikalną, nieco niepokojącą aurę, jednak dotąd nie zdradzał innych godnych uwagi cech.

Zaintrygowany Opiekun Miasta wstąpił jeszcze do swoich prywatnych komnat, aby przebrać się w codzienny biały strój. Następnie podążył do podziemi wieży, do sali, gdzie przechowywał swoją kolekcję wypchanych rzadkich ptaków i zwierząt, czaszek odmieńców oraz zdeformowanych płodów w słojach.

Ledwie przestąpił próg, jego wzrok odruchowo powędrował w stronę gabloty ze złotym puzdrem, gdzie bezpiecznie spoczywał kamyk o obłym kształcie, podobny do czarnej łyzy. Jeden z tych, które ognistym deszczem spadały z nieba owego dnia,

przed ośmiuset z górą laty, gdy podczas Czerwonego Zaćmienia mag-prorok Orhed ar Hekel ogłosił, że bogowie odeszli...

Obok, na postumencie pod szklanym kloszem, stał gwiazdny kryształ – nie tak cenny, lecz bez porównania bardziej efektowny. Wyglądał jak polerowany ametyst wielkości melona.

Gdy mag zbliżył się, kryształ zaśnił i zakolorował się obrazami, obracającymi się jak w kalejdoskopie. Demetheos zapatrzył się na nie, wstrzymując oddech.

Po chwili wstał i sięgnął po różdżkę. Spokojnie, metodycznie obłożył kryształ iluzją, tak aby niczyje oko poza jego własnym nie mogło już dostrzec pojawiających się wewnątrz wizji. Następnie opuścił podziemną salę, wzywany przez swe rozliczne obowiązki.

Wieczorem jednak powrócił i znowu zapatrzył się w fioletową gładź kryształu, a ona ożyła dla niego.

\*\*\*

**W** odległym zakątku Otchłani, w Dolinie Popiołów, chmury sunęły ponad granią gór, a wiatr przynosił z oddali krzyki potępionych.

Na występie ponad przepaścią siedziała drobna postać w szarych szatach. Objąwszy rękami kolana, patrzyła w dal.

Anyah cenila sobie samotność. Ilekroć obowiązki jej pozwalały, opuszczała pałac władcy, gdzie zawsze kotłowały się pomniejsze demony, by poszukać spokoju w miejscu, które sprzyjało wyciszeniu i skupieniu.

Wpatrywała się w mgły kłębiące się w dolinie, w zamyśleniu przesuując palcami po wewnętrznej stronie przedramienia. Na szarej jak popiół skórze demonessy wypalono rozżarzoną żelazem trzy znaki. Imię, którego jej podopieczny już nie pamiętał, ale które nie przestało być jego imieniem.

Zanim w paskudnych okolicznościach trafił pod władzę jej ojca, był zdolnym, obiecującym magiem. Pozbawiono go wspomnień i wysłano z powrotem do świata ludzi, by służył Otchłani, nie będąc tego świadom, a Anyah została mianowana jego stróżem. Teraz pod jej kuratelą spokojnie żył nowym życiem w nowym otoczeniu, ucząc się i poznając swoje możliwości. Był zasianym ziarnem, które dopiero zaczyna wzrastać. Chcieli teraz, by przede wszystkim rozwijał się jako mag, nabierał doświadczenia. Obserwowano go, sprawdzano, kalkulując przyszłe plany. Otchłań się nie spieszy. Ma przed sobą całe tysiąclecia.

Anyah ograniczała się zatem do pilnowania podopiecznego oraz regularnego składania raportów. Miała dbać, by wykształcał te zdolności, o które chodziło Dolinie Popiołów, by dostatecznie często mierzył się z przeciwnościami, lecz przy tym nie postradał przedwcześnie życia.

Ilekroć zagrażało mu niebezpieczeństwo, wiedziała o tym. Teraz czuła niepokój, który nie dawał się stłumić.

Coś się szykowało.

\*\*\*

*W uszach narasta zgrzytliwy odgłos, podobny do cykania wielu metalowych świerszczy. Pierścień golemów zacieśnia się. Nie ma ucieczki – dematerializacja nie chce zadziałać, niczym w złym śnie. Nie ma jak się uchylić przed ciosami białych pięści. Ból eksploduje, odbierając oddech, posadzka ucieka spod nóg. Kopniak wytrąca z dłoni sztylet, potem ciężka stopa golema miażdży palce.*

*Mechaniczny świergot cichnie. Jednoocy rozstępują się. Zza podwładnych wyłania się potężna postać w srebrnej zbroi. Uniesiona przyłbica hełmu odłania ludzkie oblicze, blade jak śmierć. Pośrodku czoła żarzy się trzecie oko...*

Krzyczący w Ciemności zbudził się, ciężko oddychając. Przetarł twarz. Blizny na policzku rwały bólem. Rozejrzał się, półprzytomnie ogarniając wzrokiem wnętrze

ciasnego pomieszczenia: palenisko, półki, stół ze sprzętem, kamienne ściany, na których widniały symbole wyrysowane kredą i węglem.

Był u siebie, głęboko pod ziemią, w swoim azylu. W miejscu, które od niecałego roku nazywał domem.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, poza mury kryjówki, lecz wyczuł tylko to, co zwykle. Mrok i chłód starożytnych korytarzy, przemykające nimi malutkie, głodne jaźnie szczurów i homunkulusów, snujące się cienie umarłych. Gdzieś daleko obecność pojedynczych ludzi, a jeszcze dalej, na skraju świadomości – lodowaty błysk srebrnej aury. Koszary i laboratorium Elity na drugim brzegu rzeki.

Powoli odzyskiwał spokój. Wiedział jednak, że nie da już rady zasnąć.

\*\*\*

**Rikke** biegł, ściskając worek wypełniony połową łupów z włamania, który wspólnicy wepchnęli mu w ręce, kiedy trzeba było się rozdzielić, żeby zmylić pościg.

Na trzecim poziomie Podziemi przystanął i nasłuchiwał przez chwilę. Ponieważ wokół panowała cisza, wyjął zza pazuchy słoiczek ze świeciwem i ruszył naprzód, już normalnym krokiem. W korytarzu śmierdziało, jakby w pobliżu leżała padlina albo odpadki ze sklepu rzeźnickiego, ale to w Podziemiach nie było niczym niezwykłym. Na powierzchni zresztą też.

Minął zamknięte na kłódkę drzwi dawnego magazynu. Kawałek dalej zaczynały się schody prowadzące w dół, ale nimi nie zamierzał schodzić. Poziom niżej znajdowały się krypty pochówkowe – terytorium umarłych, od którego należało się trzymać z dala. Zamierzał przejść korytarzem aż do następnego rozwidlenia, gdzie będzie mógł ukryć worek w umówionym miejscu, w tajnej wnęce za posągiem bożka z ptasią głową.

Pociągnął nosem. Smród padliny stawał się coraz silniejszy.

Nagle Rikke wdepnął bosymi stopami w zimną maź, a dwa małe kształty umknęły mu z piskiem spod nóg. W słabym blasku świeciwa zobaczył ochłap rozkładającego się mięsa, przywleczony tu przez szczury. Potem usłyszał dolatujące zza rogu niewyraźne szepty oraz mlaskanie. I w lodowatym przeblysku zrozumiał, co tam się dzieje. Duchy ucztowały.

Zachowując resztki przytomności umysłu, wycofał się bezszelestnie, krok za krokiem. Odszedłszy na bezpieczną odległość, rzucił się do ucieczki.

\*\*\*

Na powierzchni zachodziło słońce.

Na pierwszym poziomie Podziemi, niedaleko zejścia przy targu rybnym, znajdowała się tania jadłodajnia. Nad jej drzwiami nie wisiał żaden szyld. Mały, odziany tylko w zamotaną na biodrach szmatę odmieniec o prosiakowatej fizjonomii przycupnął przed progiem i chrupał obierki, które wyzbierał z ziemi albo dostał w charakterze jałmużny. Ukłonił się z szacunkiem, gdy w przejściu pojawił się wysoki, przygarbiony mężczyzna w brudnej roboczej odzieży, niosący latarnię. Szczurołap Veljanov wracał z popołudniowego obchodu.

Wewnątrz jadłodajni mimo późnej pory unosiły się zapachy w szerokiej gamie, kojarzącej się obiadowo i tanio. Dominowały w niej nuty gotowanej kapusty, ryb, smażonej cebuli oraz tłuszczu nie pierwszej świeżości. Na jednym ze stołów ciemniała kałuża sosu. Pod oknem podpity typ kiwał się sennie nad talerzem, a drugi chrupał wyciągnięty na ławie.

Zamiast właściciela jadłodajni za kontuarem stała jego córka, kształtna pannica o przymrużonych oczach, które mówiły, że obsługiwanie klientów w tej budzie ją mierzi. Obrzuciła Veljanova pełnym niesmaku spojrzeniem, ale nie odważyła się powiedzieć słowa na temat jego utyłanego w błocie i ściekach przyodziewku.

– Dziś kapuśniak za piątką, a zupa kapitańska za dziesiątkę, bo ryby podrożały – poinformowała go tylko.

Szczurołap położył na kontuarze miedzianą monetę. Pannica zgarnęła ją, po czym zdjęła z półki z naczyniami glinianą miskę. Podniosła pokrywę jednego z dwóch wiszących nad paleniskiem kotłów, uwalniając chmurę kapuściano-kminkowej pary, i zaczerpnęła chochlą zawartości, następnie zaś odkroiła z wielkiego razowego bochna całkiem uczciwą pajdę.

– Wasz druh czeka w drugiej sali – oznajmiła, wręczając staremu naczynie wraz z chlebem.

Druga sala, jeszcze mniejsza i pozbawiona okien, oddzielona była od pierwszej drewnianym przepierzeniem. Krzyczący w Ciemności swoim zwyczajem siedział w kącie, grzejąc ręce o kubek, z którego unosiła się para. Jego źrenice błysnęły żółto, gdy powitał szczurołapa skinieniem głowy.

Veljanov usiadł naprzeciwko, ostrożnie stawiając na stole miskę oraz latarnię. Wyjął zza pasa łyżkę i zabrał się do jedzenia.

Brune w milczeniu pił swoją herbatę, od niechcienia tasując talię kart. Co jakiś czas rozkładał ją w wachlarz i przyglądał się rycinom.

Patrząc na niego, nie sposób było się domyślić, że mieszka w Podziemiach. Gdyby wszedł do porządnej tawerny na powierzchni, zwłaszcza zasłoniwszy przedtem iluzją szramy na twarzy, nikt nie skrzywiłby się na jego widok. Mimo to szczurołap poczuł niepokój, gdy zauważył leżącą obok kubka osmaloną szklaną lufkę. Brune zaczynał palić opium w ilościach, które u normalnego człowieka spowodowałyby już paraliż woli i osunięcie się głęboko w nałóg.

Żmij też zdążył dyskretnie obrzucić szczurołapa wzrokiem i z ciężkim sercem odnotował, o ile gorzej stary wygląda od czasu śmierci córki. Było oczywiste, że zbyt często szuka teraz zapomnienia w kieliszku.

– Jakie wieści? – zagadnął, gdy szczurołap odsunął pustą miskę.

– Helshor kazał ci coś przekazać. – Veljanov wygrzebał z kieszeni garść monet i wręczył żmijowi. – Należność plus zaliczka na produkty, ty ponoć masz wiedzieć jakie.

– Proszę, jak miło z jego strony. – Brune przeliczył pieniądze. – I nawet suma się zgadza. Niestychane.

Po stole biegł karaluch. Veljanov zrzucił go pstryknięciem.

– A poza tym jest kłopot – podjął, zniżając głos do szeptu. – Pochorowały się dzieciaki Queleta, tego garbatego.

– Ospa?

– Chyba nie. Źle to wygląda, psiakrew. Nie podoba mi się.

– Pójdę tam dzisiaj, rzucę okiem. – Brune dobrze wiedział, czego szczurołap się obawia. Veljanov, pracujący na posadzie opłacanej przez miasto, miał obowiązek zgłaszać władzom Shan Vaola wszelkie oznaki szykującego się wybuchu zarazy, jak na przykład zdychające masowo szczury. Widział w swoim życiu kilka epidemii i był przeczulony, gdy chodziło o temat dżumy.

– Jest coś jeszcze – mruknął Veljanov. – Znasz ten korytarz na trzecim poziomie, zaraz nad kryptami, gdzie kiedyś był skład z wełną?

– Znam.

– Srebrni wyłożyli tam stertę gnijącego mięsa, a na murze wymalowali te ichnie znaki.

– Karmią umarłych? – Żmij aż odłożył karty. – Cholera. Zawsze sądziłem, że to nie w ich stylu.

– Wiesz, o co w tym chodzi?

– Nie mam pojęcia. Trzeba ostrzec, kogo się da, żeby omijali ten rejon.

– Nie możesz...

– Nie mogę. To znaczy mogę, ale wtedy srebrni już mnie mają jak na dłoni. Równie dobrze mógłbym im zostawić w prezencie trochę swojej krwi albo włosów.

Za przepierzeniem rozległy się ciężkie kroki i zagrzmiał głos właściciela jadłodajni.

– Dam ja ci, flejo! Stoły znowu niewytarte!...

\*\*\*

**W** podziemnych koszarach panował zgiełk i ruch – patrole szykowały się do wyjścia na miasto. Trzej akolici wykrzykiwali komendy, machając latarniami.

W zamkniętej na klucz komnacie, na drzwiach której widniał herb Elity, jasnowłosa kobieta w białej szacie lewitowała nad posadzką, na której płonęło pięć świec rozstawionych na czubkach narysowanego kredą pentagramu.

Pod sufitem unosiło się kilka mglistych postaci. Iglendis ar Vanth zmierzyła umarłych twardym spojrzeniem.

– Wypełniłam moją część umowy – oznajmiła. – Kiedy wypełnicie swoją?

*Już wkrótce, srebrna czarodziejko. Kiedy okoliczności będą sprzyjać.*

Iglendis zacisnęła w dłoni medalion z pentagramem, a jej oczy rozbłysły. Gdyby chciała, mogłaby bez trudu unicestwić duchy, wygnać je w nicość poza granicami światów, w której rozwiałyby się jak dym na wietrze.

– Śmiecie mnie zwodzić? Mnie, mistrzynię Elity?

*W żadnym wypadku. Czekamy jedynie na najbardziej korzystny układ gwiazd i prądów Zmroczy. Za pięć dni, gdy słońce skryje się za horyzontem, rozpal kadzidło Myrmisa i przywołaj nas.*

Iglendis spojrzała na stojącą w rogu komnaty maszynę astrologiczną. Osadzone na drewnianej podstawie złote i srebrne ciała niebieskie poruszały się w powolnym, miarowym rytmie, napędzane obrotami zachodzących na siebie kół zębatych.

Wiedziała, że duchy mają rację. Należało poczekać na optymalny układ Ekwilibrium.



Słumiła dreszcz niepokoju. Działała bez wiedzy i zgody Opiekuna Miasta, co więcej – za radą umarłych uciekła się do ryzykownego fortelu, aby mieć pewność, że Demetheos nie nabierze podejrzeń i jej nie przeszkodzi. Postawiła na szali karierę, może nawet więcej, bo gdyby ta sprawa wyszła na jaw... Lecz był to jedyny sposób, aby sława i nagroda po udanej akcji przypadły jej, a nie zwierzchnikowi.

Demetheos ar Kel żelazną ręką kontrolował wszystkie działania, jakie jego podwładni prowadzili w ramach pełnionych funkcji. Jednak Iglendis jako dowódca podziemnego garnizonu miała prawo podejmować decyzje, nie konsultując ich z Opiekunem Miasta.

Młoda dumna magini już od dłuższego czasu źle znosiła reżim narzucony jej przez zwierzchnika, któremu podlegała we wszystkim, który traktował ją, pełnoprawną mistrzynię, jak byle akolitkę. Dusila się. Wiedziała, że stać ją na więcej.

A akcja się uda. Musiała się udać. Jak polowanie na lisa.

Gdy dzięki Iglendis silny i niebezpieczny *ka-ira* znajdzie się w Domu Godnego Odejścia, będzie to dowód, że Demetheos i władze Elity powinni ją wyżej cenić.

*Już wkrótce.*

## Rozdział 2 Pandemonium

W zaułku niedaleko portu stał stary dwupiętrowy dom. Jego ozdobiona kruszącymi się płaskorzeźbami fasada przypominała o dawnej świetności – kiedyś należał do kogoś bogatego. Nad wejściem chybotął się pomalowany na żółto szyld. Farba obłaziła zeń miejscami, odsłaniając pocerniałe od wilgoci drewno.

Wysoki, ponury odmieniec zwany Kostropatym ściągnął lejce, zatrzymując wóz.

– Jesteśmy, panienko – powiedział do pasażerki, ale ta się nie poruszyła. – Powiedz no pani, żeśmy przyjechali – zwrócił się do niemłodej służącej, która wyjrzała przez uchylone drzwi.

– Proszę, proszę, kogóż to widzą moje oczy – zabrzmiał po chwili ochryply głos. Kylja, właścicielka domu, spłynęła po schodkach niczym okręt pod pełnymi żaglami, przytrzymując wydymane przez wiatr spódnice. Kostropaty uchylił czapki.

– Powitać. Przywożę wam nową, tak jak było umówione.

– W sam czas. Ersilla jest chora, a jutro ma nas odwiedzić większa kompania.

– Kto?

– A któż by? Weseli panowie ze Szmaragdowej Dzielnicy, co im się znudziły teatry i inne pańskie rozrywki.

Kostropaty odwrócił się do swej pasażerki.

– Hej, panienko, wysiadka.

Dziewczyna nie podniosła głowy. Chwiała się sennie, z przymkniętymi oczami.

Uśmiech Kylji zgasł.

– Co ona taka... Co jej jest?

Podeszła do wozu, bezceremonialnie zadarła dziewczynie powiekę i odwróciła się do Kostropatego, aż zafurczały spódnice.

– Co wy, żarty sobie robicie? Sto razy mówiłam, że nie chcę żadnych ćpunek! Z ćpunkami są same kłopoty!

– To nie tak, jak myślicie – westchnął odmieniec. – Rozkazy mam.

Pochylił się i długo szeptał jej na ucho. Kylja pokręciła głową.

– Też wymyślili, niech ich... Trudna rada. Król każe, to nie ma wyjścia, co, brzydału?

– Ano, nie ma wyjścia – zgodził się Kostropaty.

\*\*\*

– Na trzecim poziomie, nad dawnym składem z wełną, srebrni wyłożyli dużą ilość mięsa dla umarłych – poinformował Krzyczący, siadając na zniszczonym wyściełanym krześle, które kiedyś prawdopodobnie stało w zamożnym mieszczańskim domu, ale było to bardzo dawno temu. – Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć.

– Wiem, już mi doniesiono. – Staruch pokręcił głową. – Prowadzą jakieś swoje eksperymenty, jak to oni. Teraz, jesienią, Ekwilibrium jest stosunkowo stabilne, więc raczej nie rozszczelnia niechcący bariery zaświatów. Na twoim miejscu nie wnikałbym, o co w tym chodzi.

– Ależ nie zamierzam. Jeśli o mnie chodzi, srebrni mogą umarłym wykładać nawet tort z wiśniami i paszteciki.

Siwobrody odmieniec, prawdopodobnie najstarszy żywy mieszkaniec Podziemi i tutejszy nieformalny ojciec duchowy wszystkich, którzy w taki czy inny sposób parali się magią, zaśmiał się, dokładając do pieca. Potem spoważniał. Podsunął sobie zakurzony fotel, na oparciu którego spał oswojony szczur, usiadł i popatrzył na Krzyczącego z życzliwą troską.

– Dawno do mnie nie zaglądałeś, Brune. Jak się miewasz?

– Jakoś. Dopóki tylko nic złego nie dzieje się z Ekwilibrium i Elita nie próbuje nękać mnie ani moich klientów, da się żyć.

– Problem twoich utraconych wspomnień – Staruch zniżył głos – pozostaje nierozwiązany?

– Nie miałem ostatnio czasu, siły ani ochoty tego drążyć – odrzekł zwięźle Krzyczący. – Dopóki ich brak nie jest jakoś dotkliwie odczuwalny na co dzień... – Wzruszył ramionami. – Może trzeba po prostu nauczyć się z tym żyć. Nie wszystkie wspomnienia, było nie było, są warte pamiętania.

– Nie da się ukryć – przytaknął z westchnieniem Staruch, sięgając po fajkę i kapciuch z tytoniem. – Posłuchaj, czy naprawdę musisz pracować dla Helshora? – zapytał, zmieniając temat.

– Dopóki gwarantuje to, że srebrni pewnej pięknej nocy nie przyjdą zastukać do moich drzwi, owszem, muszę. – Żmij zmierzył go wzrokiem. – Aha, wiem, co zaraz powiesz. Używają moich mikstur do nieprzyjemnych celów. No cóż, każdy płatnerz też musi się liczyć z tym, że ludzie wykorzystują wyroby jego rąk do zabijania się nawzajem.

– Wcale nie zamierzałem cię moralizować. – Odmieniec skończył nabijać fajkę i zapalił ją dREWIEKIEM od świeczki. – Uważam po prostu, że szkoda twojej wiedzy na warzenie jakichś olejków dla złodziei. To już doprawdy te eliksiry miłosne, których wyrobem tak gardzisz, nie są wiele gorsze.

– Robię różne rzeczy dla różnych ludzi. Nie wszystkimi się chwalę. – Brune wstał. – Spieszę się na spotkanie, wybacz.

Staruch potrząsnął głową.

– Gdybyś kiedykolwiek potrzebował rady – rzekł tylko – wiesz, że do mnie zawsze możesz przyjść.

Krzyczący skłonił się lekko w odpowiedzi.

\*\*\*

Podziemne targowisko Loss Fomar pustoszało. Sprzedawcy zwijali towary, zabierali lampy i ryglowali drzwi kramów. Samotny homunkulus, który odważył się wyleźć z jakiejś wnęki, obwąchiwał rozrzucone odpadki.

Przy jednym z nielicznych otwartych jeszcze stoisk stary Veljanov gawędził z właścicielką. Delilah, czarnowłosa i ładna, miała skośne oczy po matce Nedgvarce i zawsze lekko znudzony wyraz twarzy. W kolorowym jedwabnym stroju z daleka wyróżniała się spomiędzy handlujących. Prowadziła kram na podziemnym targowisku, bo jeszcze nie stać jej było na to, żeby założyć warsztat i sklep w mieście. Co roku płaciła żebraczemu królowi stosowną sumę, żeby móc się nie obawiać złodziei. Mieszkała oczywiście na powierzchni.

Zegar pośrodku targowiska wybił północ, zagrały kuranty.

– Brune się spóźnia – zauważyła alchemiczka.

– Jak powiedział, że przyjdzie, to przyjdzie – odparł flegmatycznie szczurołap.

– Poszedł do tych kanalarzy?

– A jakże.

Jakiś czas stali w milczeniu, obserwując homunkulusa, który wywłókł skądś sporą kość i teraz ją ogryzał. Do kramu podszedł gruby, niechlujny mężczyzna.

– Masz moją miksturkę, kotku? – zagadnął przepitym głosem. Delilah sięgnęła pod ladę, wręczyła mu fajansowe naczynie z przykrywką i zainkasowała dwie srebrne monety. Grubas odszedł spieszenie, wymijając dwóch uliczników, którzy z wzrokiem wbitym w ziemię szukali upuszczonych drobniaków i resztek żywności.

Veljanov popatrzył na tarczę zegara, po raz pierwszy zdradzając oznaki zaniepokojenia. Ale w tym samym momencie zza sąsiedniego straganu wyłonił się zgarbiony osobnik w ciemnej opończy, o zwiędłej i wyjątkowo nieciekawej fizjonomii. Gdy zatrzymał się przed kramem alchemiczki, nagle wyprostował się,

młodziejac o dwadzieścia lat. Zarówno Delilah, jak i szczurołap odnieśli wrażenie, że tylko oni dostrzegli tę przemianę.

– Byłem obejrzyć dzieci Queleta – oznajmił Krzyczący w Ciemności zaraz po słowach powitania. – To nie dzuma.

– Chwała bogom – mruknął szczurołap. – A co w takim razie?

– Odra, jak przypuszczam. Zostawiłem ich matce środek na gorączkę. Epidemii w każdym razie nie musimy się obawiać. Zresztą, gdyby coś się szykowało, umarli wiedzieliby o tym pierwsi.

Delilah poczuła dreszcz, jak zawsze, kiedy słyszała z jego ust podobne słowa.

Veljanov, który chciał się tylko upewnić, że Podziemiom nie grozi wybuch zarazy, pożegnał się, a potem odszedł. Alchemiczka zamknęła i zarygłowała kram od frontu, po czym otworzyła tylne drzwi i gestem zaprosiła żmija do środka.

– Belladona, ekstrakt potrójnej mocy, zgodnie z umową – oznajmił, wyjmując z kieszeni zakorkowaną buteleczkę. Delilah sięgnęła do skrytki pod ladą i wręczyła mu złotą monetę.

– Chcę ci się czymś pochwalić, tak jak obiecałam. – Zdjęła z półki karafkę wypełnioną szkarłatnym płynem i dwa kieliszki. – Ciekawe, czy rozpoznasz skład.

Brune zakręcił kieliszkiem, oceniając pod światło kolor trunku, upił łyżek.

– Cukier trzcinowy, goździki, czerwony lotos i odrobina lucyferii – stwierdził po chwili zastanowienia. – W zupełnie niezłym winie. Trafiłem?

– W dziesiątkę. Co sądzisz o takim połączeniu?

– Interesujące. – Napił się jeszcze. – Ja bym nie dodawał cukru. Ale to kwestia gustu.

Delilah obracała w dłoni kieliszek.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała po chwili wahania.

– Jaka? – zdziwił się.

– To dłuższa historia. Opowiem ci, ale najpierw obiecaj, że zachowasz to dla siebie.

– To oczywiste. Mów.

Dopiła wino, odchrząknęła.

– Zaczniemy od tego, że mam stałą klientkę w Szmaragdowej Dzielnicy, jej imię nic ci nie powie. Kupuje ode mnie kremy, bielidło, szminki, takie tam kobiece drobiazgi.

Brune powstrzymał się od komentarza. Wiedział, że Delilah specjalizuje się w środkach odurzających oraz afrodyzjakach. Kosmetyki, które oferowała, zawsze posiadały jakieś dodatkowe właściwości. Najczęściej działały po prostu jak wabik na płęć przeciwną, ale nie tylko.

– Znamy się prawie trzy lata, zdążyłyśmy się przez ten czas po trosze zaprzyjaźnić – kontynuowała alchemiczka. – Ona jest szlachcianką z zamożnej rodziny. Wydano ją młodo za męża za wysokiego urzędnika, dużo starszego od niej. Mążonek zmarł cztery lata temu, zostawił jej w testamencie większą część majątku i teraz dziewczyna nareszcie może cieszyć się życiem; wiesz, jak to jest.

– Domyślam się.

– Wkrótce po śmierci męża nawiązała romans z pewnym młodzieńcem, arystokratą. Rodzice tego chłopaka zmarli na zarazę, zanim skończył dwadzieścia lat. Miał jeszcze siostrę, ale dwa lata temu zginęła w wypadku, bodajże na polowaniu. Po jej śmierci popadł w rozpacz, za radą medyków wyjechał w dalekie strony, podróżował. Wrócił kilka miesięcy temu i... – Delilah zawahała się. – Moja klientka ma uzasadnione podejrzenia, że stał się *ka-ira*. Może po śmierci siostry, może dopiero później, nie wiadomo. Jeśli rzeczywiście tak jest, najlepiej byłoby, żeby wyjechał jak najdalej i nigdy tu nie wracał.

– Powoli... – Brune uniósł dłoń. – Twoja klientka sądzi, że pod wpływem szoku po śmierci bliskich obudził się w nim dar, tak?

– To się zdarza, prawda?

– Tak. Ale tylko w przypadku podatnych osób. Warto byłoby wiedzieć, czy we wczesnym dzieciństwie zaobserwowano, żeby zachowywał się dziwnie.

– Dziwnie? Co masz na myśli?

– Rozmowy z niewidzialnymi postaciami, mówienie do siebie, a już zwłaszcza we własnym, niezrozumiałym języku... – Żmij w miarę wyliczania odginał palce. – Rozpoznawanie widzianych po raz pierwszy osób i miejsc, samookaleczanie, fascynacja ogniem, irracjonalne napady lęku, na przykład przed słońcem, lecącymi ptakami lub płynącą wodą. Jeśli kilka z tych objawów wystąpi u dziecka między drugim a szóstym rokiem życia, to znak, że w wieku dojrzewania lub wkrótce po osiągnięciu dorosłości w takiej osobie może się obudzić czarny dar. Wyzwalaczem zazwyczaj są dramatyczne przeżycia: ciężka choroba, wypadek, śmierć bliskiej osoby. Ale budzenie się daru trwa dłuższy czas i raczej trudno je przeoczyć, poza tym w większości przypadków potrzebna jest obecność doświadczonego maga, żeby przeprowadzić delikwenta przez kryzys. Słyszałaś pewnie, jak to wygląda... Gorączka, halucynacje, niekontrolowana telekineza i tak dalej. Nie sądzę, żeby mógł to po prostu przechorować w pierwszym lepszym zajeździe.

– Moja klientka wie tylko tyle, że jej kochanek wrócił z podróży odmieniony. Kiedy był chłopcem, pisał wiersze...

– A teraz co, przestał?

– Przeciwnie. Pisze więcej i lepiej. Poematy, sztuki teatralne. Nagle, z dnia na dzień, zyskał rozgłos.

– Dorósł i jego talent się rozwinął. Tylko się cieszyć.

– No cóż, poczekaj. Nie powiedziałam ci najważniejszego. Odkąd wrócił z tych swoich wojaży, interesuje się tajemnymi sztukami. Czyta księgi, obserwuje gwiazdy, medytuje. Igra z ogniem, ludzie już plotkują; służba i tak dalej. Tylko patrzeć, jak to dotrze do srebrnych. Przyznaj, że dziewczyna słusznie się obawia.



Żmij skrzywił się sceptycznie.

– Ma chłopak pieniądze i się nudzi. Gdyby rzeczywiście posiadał dar, Elita już by się nim zajęła. Ale dobrze, powiedz mi, jak się nazywa ten jegomość.

## **Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:**

### **Agnieszka Hałas: DWIE KARTY, cykl TEATR WĘŻY, tom 1**

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, „Dwie karty” otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: „Pośród cieni” oraz „W mocy wichru”.

### **Agnieszka Hałas: W MOCY WICHRU, cykl TEATR WĘŻY, tom 3 (część 1 i 2)**

Ostatni tom rewelacyjnego cyklu Teatr węży o Krzyczącym w Ciemności, czarnym magu, którego przeszłość skrywa cień.

W świecie po Skażeniu, gdzie czarny dar czyni cię wyklętym i ściganym, każda maska, każda nowa tożsamość mogą zagwarantować bezpieczeństwo tylko przez krótki czas.

Marshia Lavallo, która przez lata służyła Otchłani, musi się zmierzyć z konsekwencjami – i płaci wysoką cenę. Krzyczący w Ciemności jeszcze nie wie, że przypomnieli sobie o nim wrogowie z poprzedniego życia. Anavri musi nauczyć się posługiwać darem, którego nienawidzi. A w jednym z miast nad Zatoką Snów grasuje morderca.

Co łączy tragedię, jaka rozegrała się przed laty w mieście ogarniętym zarazą, z człowiekiem w stroju błazna, który zabija kobiety lekkich obyczajów? I czy można wygrać z nieubłaganą logiką mówiącą, że w życiu czarnego maga każda więź prędzej czy później musi zostać zerwana?

Jedno jest pewne – nie należy liczyć na szczęśliwe zakończenie.

### **Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU**

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną machinę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojowniczką Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieżę zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

### **Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV**

*Jedwab i porcelana* to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zmagają się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów: „Biały tygrys”, „Niebieski smok”, „Czerwony ptak” i „Czarny żółw”.

### **Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA**

*Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!*

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, puginałów i handzarów, jęku cięciw, bają mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanego Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbędnej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

### **Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA**

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

*Znajda* to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

## **Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA**

*Gdy łowca staje się ofiarą...*

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

## **Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACENICY**

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo stracenci.

## **SZABLĄ I WĄSEM. ANTOLOGIA OPOWIADAŃ SARMACKICH**

**Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek**

*Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.*

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i licho wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

*Szablą i wąsem* to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

### **Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH**

Zbiór opowiadań ze świata powieści *Nadzieja czerwona jak śnieg*. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

### **Andrzej W. Sawicki: FURIA BŁĘKITNA JAK OGIEŃ**

Rok 1863. W Polsce trwają buntownicze walki z wojskami Imperium Rosyjskiego. Drugi dyktator powstania zostaje pokonany i zmuszony do ucieczki, kolejne polskie bandy miażdżone są karzącą, carską pięścią. Nadzieja umiera po raz kolejny.

Ale gdzieś w lasach formuje się oddział straceńców złożony z odmieńców o krwi skażonej czynnikiem mutatio. Obdarzeni nadludzkimi mocami desperaci rzucają wyzwanie carskiej potędze. Szpiedzy donoszą, że mutanci zbierają niedobitki rozbitych powstańczych partii i kierują się na Warszawę.

Ruszą do ostatniego, desperackiego boju. Rozniecą ogień, mogący spalić nie tylko carskich wrogów, ale wszystko wokół. Pozwolą porwać się furii, która może zniszczyć nawet ich samych.

### **Marek Hemerling: PILLON I SYNOWIE**

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem Łagodny Olbrzym wciąż drzemał ukryty w cieniu Dominium...

### **Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ**

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja,

nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłań?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andremilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreuil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreuil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

### **Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.**

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacną nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

### **Aleksander Kowarz: RYDWAN BOGÓW**

Fotoreporter, dwoje egiptologów, franciszkanin i nie taka całkiem zwyczajna turystka zostają przez przypadek towarzyszami niezwyklej podróży, która zaprowadzi ich w miejsca, o jakich nie śnili. A wszystko to za sprawą złotego skarabeusza, znalezionej w pobliżu Kazimierza Dolnego, który okazuje się kluczem do wielkiej zagadki.

Pięć tysięcy lat wcześniej w równie niezwyklej podróży wybrali się kapłan Świątyni Horusa Sefian i jego syn. Sefianowi została powierzona delikatna i ważna misja, a niepowodzenie nie wchodzi w rachubę.

Losy obu grup, choć dzielą ich tysiące lat, są ze sobą ściśle powiązane za sprawą tytułowego Rydwanu Bogów. Czym jest, dlaczego jest tak ważny i dlaczego wszyscy chcą nim zawładnąć? Piątka towarzyszy musi znaleźć odpowiedzi na te i inne pytania, aby móc wrócić do domu.

Fascynująca powieść, w której odległa przeszłość przeplata się z teraźniejszością, magia z wiarą, miłość z powinnością, a przeznaczenie z misją.